

Ja.

Protokół

Kraków, dnia 14 kwietnia 1948 r. Ja, prokurator dr. Wincenty Jawosiński członek Komisji dla Badania Zbrodni Niemiecko-Hitlerowskich w Oświęcimiu, przy współudziale posła Krajowej Rady Narodowej, a zarazem członka tejże Komisji, Heleny Boguszewskiej Kornackiej na zasadzie art. 20 przepisów wprowadzających kodeks postępowania karnego w związku z art. 107 i 115 kodeksu postępowania karnego przesłuchałem w charakterze świadka b. więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu Kazimierza Smoleńca, oznaczonego numerem więźnia 98238, który zeznał co następuje:

Nazywam się Kazimierz Smoleń, ur. 18 listopada 1917 r. w Łysej Górze, pow. Brzesko, syn Michała i Anioli z Mytników, zamieszkały przy ul. Basztowej 4 m. 14 w Krakowie, narodowości i przynależności państwowej polskiej, rzymsko-katolik, urzędnik spółdzielni "Spółem", student 1 roku studium spółdzielczego przy U.J. w Krakowie, stanu wolnego, sądowo nie karany. -----

Dnia 14 stycznia 1943 r. o godz. 5 rano przyjechałem do jednego ze swoich kolegów do N. Sącza. W chwili zbliżania się już do jego domu zauważyłem stojące przed domem auto, nie zwróciłem jednak na nie specjalnej uwagi. W chwili, gdy chciałem wejść do bramy, z auta wysiadło 2, jak się później przekonalem gestapowców, którzy bez jakiegokolwiek zapytania polecieli mi wsiąść do auta. Oprócz tych dwóch gestapowców w aucie znajdował się jeszcze szofer. Autem tym przejeżdżano mnie do budynku, gdzie mieszkali się miejscowi gestapo. W pokoju, do którego mnie wprowadzono, rozpoznałem jednego z tych gestapowców, którzy mnie przysięgli. Był to znany mi uprzednio z widzenia mieszkaniec N. Sącza N. Górka /imienia jego nie znam/

Po wprowadzeniu mnie do pokoju ów Górka wyjął z kieszeni jakieś pismo i przeczytawszy je cicho oświadczył, że sprawę tę musi rozstrzygnąć sam szef gestapo Hamann. Wówczas domyśliłem się, że chodzi tu o jakieś donos, w którym zawarty był poważniejszy zarzut, ponieważ tylko poważniejsze sprawy szły do Hamanna. Do pokoju Hamanna wprowadzono mnie po upływie pół godziny /nadmieniam, że przeprowadzono uprzednio u mnie osobistą rewizję, przy której nic nie znaleziono/. Hamann zadał mi kilka pytań, czy należę do organizacji. Wyjaśniam, że nie było to pytanie, lecz wprost wstawianie we mnie, iż gestapo jest w posiadaniu wiadomości, że należę do organizacji, że kolportuje ulotki i że przewożę jakieś rozkazy z Krakowa. Wobec powyższego wezwał mnie, ażebym powyższe okoliczności przyznał, a kiedy ja wszystkim insynuacjom zaprzeczyłem, wówczas Hamann oświadczył z ironją: "zobaczymy czy pan nie powie prawdy", poczem polecił jednemu z mundurowych odprowadzić mnie do celi. Popołudniu ponownie wezwano mnie na przesłuchanie do Hamanna. Przesłuchanie to trwało od godz. 14 - 17. Na wstępie Hamann zadał mi to samo pytanie co rano, a gdy wszystkim zaprzeczyłem, przystąpiło do mnie 2 mężczyźni w mundurach, którzy zaczęli mnie bić po twarzy. Mężczyźni tych określałem mianem oprawców. Po chwili posadzili mnie oni na kozicek, podobny do tych, których używa się po wsiach do rżnięcia drzewa, posadzili mnie okrakiem w ten sposób, że musiałem podnieść kolana, a następnie między ręce w stawie łokciowym i pod kolana włożyli mi sztaby żelazne. Ręce związane mi rzemieniem, że byłem w zupełności pozbawiony swobody ruchów. wyjaśniam, że na tym kozie byłem zamocowany, nie siedziałem na nim - tworzyłem jakby huśtawkę. Stąd pochodzi nazwa takiego przyrządu w języku więziennym "huśtawka". Następnie jeden z owych żołnierzy popychał mnie, a drugi w tym samym czasie bił mnie jakąś plecionką, zrobioną z grubych przewodów elektrycznych, namoczonych uprzednio w wodzie. Bićcie to trwało przez przeciąg około 15 minut, a w czasie tego odczuwałem "potworny ból"

i byłem już nieco oszołomiony. Kiedy skończono to bicie, a znalazłem się jeszcze w pozycji wiszącej, zapytano mnie, czy teraz będę mówił prawdę. Na moją odpowiedź, że od początku mówię prawdę, zdjęto mnie z owej huśtawki i zasęto w sposób nieco łagodniejszy przekonywać mnie o bezzsensowności uporu i konieczności przyznania się do zarzuconych mi czynów. Usnił tu sam Hamann. Hamanna znałem z opowiadania, jako człowieka z którego ręk, nikt po przyznaniu się do jakiegokolwiek przestępstwa, żywy nie wyszedł i dlatego sdałem sobie sprawę z tego, że sytuacja w jakiej się obecnie znajduje, jest b. poważna. Powtarzając jeszcze raz, że mówię prawdę, oszładczyłem wprost Hamannowi, że do niczego się nie przyznam, jestem bowiem przekonany, że przyznając wmawiane mi zarzuty i tak żył nie będę. .

Wówczas Hamann polecił odprowadzić mnie na noc do ciemnicy, mówiąc do mnie przy tym w sposób ironiczny: "niech się pan do jutra namyśli". Ciemnica - było to miejsce w małej piwniczce bez okna, o podłodze betonowej, pokrytej około 5 cm. warstwą wody. Ściany były zupełnie wilgotne - dopływ powietrza gwałtem utrudniony. Od chwili zatrzymania mnie aż do godz. 9 rano nie otrzymałem nic do jedzenia, ani do picia. Dopiero o godz. 9 przyszedł do ciemnicy nieznany mi klucznik, który przyniósł mi garuszek czarnej gorskiej kawy i około 4 dkg. czarnego chleba. Dodaję, że ciemnica o której mowa, znajdowała się w więzieniu Nowo-sądeckim, oddalonym o jakie 500 m. od budynku, gdzie mieściło się gestapo. Po przesłuchaniu u Hamanna, tam mnie właśnie gestapo odprowadziło. W jakąś godzinę po spożyciu śniadania, a było to już 15 stycznia, przyszedł do ciemnicy strażnik więzienny, t. zw. profos "Johan", gestapowiec i skłuszył mnie w kajdany amerykańskie odprowadził do budynku gestapo. Wprowadził mnie do pokoju, w którym saowały się najrozmaitsze przyrządy. Na pierwszy rzut oka pomyślałem, że są to narzędzia tortur, za pomocą których wymuszano zeznania. W pokoju tym oprócz mnie znajdował się jakiś "referent" nieznany

- 4 -

ny mi uprzednio i tych dwóch mundurowców, którzy uprzednio na huśtawce u Hamanna bili mnie. "Referent" ów zadał mi kilka pytań, odbiegających nieco od tematu, a dotyczących stosunków osobistych, poczem z kolei zaczął powtarzać pytania, a raczej zarzuty stawiane mi ubiegłego dnia przez Hamanna. Gdy i tym razem kategorycznie zaprzeczyłem, bym poczuwał się do jakiegokolwiek winy, przystąpili do mnie obaj "oprawcy". "Referent" dał im znak wzrokiem, a ci, obchodząc się ze mną brutalnie, związali mi ręce kańczuchem, a następnie wciągnęli na specjalnie w tym celu przygotowany słup, tak, że tylko końcami palców mogłem dotykać ziemi, całe zaś ciało wisiało na wykręconych do tyłu rękach /słupek/. Na tym słupku wisiałem przez około 3 kwadransy. W tym czasie smuszano mnie do potwierdzenia postawionych mi zarzutów, a gdy oświadczyłem im "możecie mnie panowie zabić, a ja nic innego nie powiem, bo ja przez cały czas mówię prawdę", zdjęto mnie ze słupka, pozwolono mi usiąść na krześle, a nawet poczęstowano mnie papierosem. Obawiając się, czy papieros nie zawiera jakichś środków odurzających, odmówiłem zapalenia. Z tej samej przyczyny odmówiłem, wypicia wódki, którą mnie następnie poczęstowano. Ponieważ byłem b.głodny, sjadłem tylko 2 kromki chleba z masłem, którymi mnie gestapowcy poczęstowali. W tym czasie smuszano mnie pytaniami, abym przyznał się do winy, obiecując mi w zamian za to zwolnienie. Te badania trwały prawie, do południa, po czym zamknięto mnie w niezwykłym klozecie, gdzie przebywałem do godz.15. O godz.15-ej wprowadzono mnie znów do owego pokoju i ci sami ludzie poczęli ponownie wma- wiać we mnie, uprzednio postawione mi zarzuty z tym, że bito mnie stale rękami, kopano i popychano. O godz.17-ej odprowadzono mnie skutego z powrotem do pianicy w więzieniu. Nastajutro odprowadzo- no mnie o godz.9-ej do przesłuchania na gestapo, do tego samego pokoju co w dniu poprzednim. Przesłuchanie prowadził ten sam "refe-

- 5 -

rent", a następnie poddyktował maszynistce protokół moich zeznań. Tak przesłuchanie jak i protokół, prowadzone były w języku niemieckim, językiem tym nie władam, ale go dość dobrze rozumiem. Po spisaniu protokołu, maszynistka-tłumaczka, przekoiła mi jego treść, z której dowiedziałem się, że wbrew moim zeznaniom przyznaje się do tego, że należałem do tajnej organizacji, kolportowałem ulotki i byłem łącznikiem między Sączem a Krakowem. Gdy podpisania tego protokołu kategorycznie odmówiłem, wówczas z sąsiedniego pokoju wbiegło dwóch tych samych "oprawców" w mundurach, co poprzednio i z całą furją poczuli mnie bić nahaniami gdzie popadło, po głowie, plecach i innych częściach ciała. Gdy odlałem polewno mnie zimną wodą i znów bito aż do ponownego omdlenia. Czy śladzi czegoś w tym czasie ode mnie, kto mnie bił później i jak długo to wszystko trwało - tego nie wiedziałem. Przepomniałem sobie, że w czasie chwilowego odzyskania świadomości bito mnie jakimś młoteczkami po udach. Dopiero wieczorem zbudziłem się, odzyskałem przytomność, zobaczyłem, że znajduje się w tym samym co wczoraj niezajętym klozecie. Tegoż wieczora skutego odprowadzono mnie do celi więziennej. Przez dwa następne dni na przesłuchanie mnie nie brano. W tym czasie do więzienia w N. Sączu przyprowadzano masowo ludzi, których zapano na ulicy Sącza i okolicy. Ludzi tych następnie wywożono do więzień w Tarnowie. Dnia 19.1.1943 r. doprowadzono mnie z powrotem do Hamanna. Hamann zapytał mnie, jak się czuję, a następnie, dlaczego nie podpisałem protokołu. Gdy odwiadczyłem, że treść protokołu jest niezgodna z moimi zeznaniami i że wolę, ażeby mnie zabito, sniżeli tak katowano, Hamann poddyktował nowy protokół, w którym skonkretyzował zarzuty stawiane mi i stwierdził, że do winy nie poczuwam się. Że to ostatnie przesłuchanie odbyło się tak krótko i bez bicia, należy przypisać faktowi, iż gestapo N. Sądzieckie w tym czasie zajęte było przesyłaniem masowo napływających ludzi i wysyłania ich do Tarno-

- 6 -

na. Przypuszczam, iż tylko okoliczność uchroniła mnie od śmierci. Po trzech dniach odezwano mnie jako groźniejszego przestępcę, skutego w kajdany, razem z transportem około 90 ludzi, do więzienia w Ternowie, gdzie przebywałem do 28.1.1943 r., w którym to dniu kolejną odezwano nas w liczbie 1200 mężczyzn i 600 kobiet do obozu w Oświęcimiu.

Pokoju katowni znalazłem się na 1-yim piętrze, miał 2 okna, które stałe były przykryte storami i dwoje drzwi. W kącie naprzeciw wejścia stało biurko, obok stolik maszynistki i szafa. Przeciętnej zaś stronie stoł z krzesłami. Na tej ścianie, w której znajdowało się wyjście z korytarza, był właśnie ów szupak, obok huśtawka dalej krzesła przypominające wyglądem krzesła dentystyczne i wiadra z owymi herapsami.

[Data 28.1.1943 r. cała nasza została w więzieniu w Ternowie. Po wyjeździe i tym celu uprowadzono nas wszystkich na podwórze więzienną. Przypuszczaliśmy, że pojedziemy do obozu w Oświęcimiu, gdyż tak nam powiedzieli Polacy, strażnicy w więzieniu. Komendant transportu odwiadczył nam jednak na dworcu, że zostaniemy wysłani na roboty do Hirsau, oraz ostrzegł nas, aby nikt nie odważył się pisać. W razie takiej próby uczestnicy transportu zostaną zabięci. Na dworzec przewieziono nas w grupach po 200 osób. Pod silną eskortą policji i SS, zarządowano nas po 100 osób do wagonów tydlących, poczym wagony zamknięto. Po przyjeździe transportu na stację do Krakowa, jak później dowiedzieliśmy się, do pociągu tego zarządowano transport więźniów w Monte-Lupich w liczbie 500 osób. Do Oświęcimia przyjechaliśmy na dworzec towarowy o godz. 6-ej wieczorem. Dworzec w Oświęcimiu oświetlono reflektorami. Bezpośrednio po otwarciu wagonów narzeczono głośno wrzaski: "los, ansteigen, schnell!" i zarządził większą ilość SS-mannów, którzy trzymając w jednej ręce rewolwery - drugą, w której posiadali herapy, bili bezlitośnie wysiadających więźniów. Początkowo

ogrzaliśmy, że zostaliśmy z dworca do obozu przewiezieni autami, które stały w pobliżu pante. Później jednak zauważyliśmy, że auto odjechało, a nas ustawiono w plątki i wśród szeregowo przybyłych osmannów i konwojentów transportu, pędzono biegiem około 3 km. do Brzezinki. Nadmieniam, że powierzchnia drogi pokryta była całe lodem, tak, że ludzie łatwo upadali, kto zaś upadł, tego bez miłosierdzia bito i kopano, tak, że kończył życie. Jak się później dowiedziałem, auto, które odjechało z dworca pante, miało służyć do przewiezienia żydów więźniów sprout do Komory głównej. Oprócz osmannów zauważyłem w chwili przyjazdu do Oświężdzia na dworcu grupy więźniów ubranych w pasiaki, którzy na polecenie osmannów przeglądali opróżnione wagony. Było to t.zw. "Kammando-Kamanda". Już w czasie drogi zbito około 20 ludzi z naszego transportu, b.ciele zaś pobito. Niemiłosiernie wrznięcie zrobiono nam po przejściu t.zw. "czarnej bramy" w Brzezince tysiące szpilek na drutach kolczastych, którzy obóz byli kilkakrotnie opuszczali. Na pierwszy rzut oka rzuciły mi się w oczy różnego rodzaju baraki drewniane i murowane. Baraków tych było około 400. Po przejściu do właściwego obozu zauważyliśmy przed sobą baraki grupy więźniów składające się z około 200 osób. Była para po-apelowa. Rozdzielono wówczas mężczyzn i kobiety na 2 grupy, począwszy grupę mężczyzn skierowano na oddział plątki, a kobiety do obozu kobiecego. Ja z grupy 500 osób dostaliśmy się do t.zw. "Zugangsblock" Nr. 22. -----
Block ten był zupełnie pusty i służył do spisywania personelu więźniów. Barak ten był barakiem typu stałego, przedzielony przesłoniem płaszczyzn w formie długiej ukrytej na dwie części. Nas ustawiono w jednej części, z drugiej zaś z przeciwnej strony spisywano nasające żydów, którzy uprzednio przybyli z Łowoszynek. Spisów dokonowali więźniowie. Wzrosła po polsku. Dodaję, że spisu naszego dokonano w 2 dni, później, poniedziałek w tym dniu przybyły do obozu około 5 tys. ludzi, w 4 transportach - z Łowoszynek, Krakowa, Tere-

- 8 -

uina, Wołkowyska i z Łodzi. W czasie spisywania żydów, bezpośrednio po wpędzeniu nas do baraków, zjawili się w tymże baraku więźniowie, nieco inaczej ubrani niż inni, w kurtkach granatowych, z zielonymi winklami i ci namówiali więźniów, by wszystko co posiadają wartościowego im oddawali, gdyż i tak to wszystko zostanie im zabrane. Każdy z tych więźniów miał w ręce laskę, a na ramieniu opaskę żółtą z napisem "kapo". Byli to wszystko Niemcy, gdyż mówili wyłącznie po niemiecku. Niektórzy z nowoprzybyłych więźniów oddawali wartościowe rzeczy. Od 27.1.1943 r. dostaliśmy w więzieniu w Tarnowie w dniu 27-go rano garnuszek czarnej kawy, a 28-go po kawałeczku suchego chleba i po tym pożywieniu pozostaliśmy do 29-go do godz. 10-ej rano. Każdy z nas miał wielkie pragnienie i chciał koniecznie napić się wody, ale przybyli do nas więźniowie Polacy, którzy już jakiś czas w obozie przebywali, ostrzegli nas, by wody nie pić, gdyż ona jest niezdrowa i powoduje biegunkę. Natomiast przynieśli nam beczkę z kawą, z której tylko skraśi z pośród nas mogli skorzystać i to po garnuszku. Kawa ta nie była nam oficjalnie przydzielona, a niezawodnie przez więźniów skradziona, jak się w języku więźniów mówiło "zorganizowana". Dnia 29 stycznia o godz. 4-ej rano, a było to ciemna noc, wypędzono nas z baraku na plac przed barakiem, wówczas stwierdziłem, że z mojej grupy, która liczyła 500 ludzi, ^{już} dwu nie żyje. Żołnierzy ich ułożono obok nas na placu, aby stan liczbowy się zgadzał. O godz. 7-ej zjawił się żołnierz SS-mann, który odebrał od starszego blokowego raport. Starszym blokowym był żyd, gdyż na boku miał gwiazdę a na rękawie czerwoną opaskę z numerem 22. Tenże blokowy jeszcze przed przyjściem SS-manna ustawił w szeregi 10-cio rzędowe i poczzął świcyć. Poleciał on nam przed każdym żołnierzem SS-mannem zdejmować czapkę, a wszyscy na komendę "Mutzen auf", "Mutzen ab" musieliśmy czapki na tempo zdejmować i ubierać. Bezpośrednio po apelu zauważyłem obraz, który wywarł na mnie największe wrażenie i pozostanie w mojej pamięci na całe życie.

cie, a mianowicie, jak z każdego baraku więźniowie wynosili po kilkanaście do kilkudziesięciu trupów innych więźniów, już rozebranych, układali je na "rollwagach" względnie sankach i przewozili do specjalnej szopy, trupiarni, zwanej "Leichenhalle". Obraz ten powtarzał się potem codziennie. W pierwszym dniu obliczam ilość trupów, które obok mnie przewieziono na około 200, a później znacznie więcej. Śmiertelność bowiem wzrastała, dochodząc do cyfry 500 osób dziennie. Większość tych trupów przynoszono na wieczorny apel już z komend pracy. Potem przenoszono je do bloków, a następnie po ranym apelu wynoszone do trupiarni. Byli to przeważnie ludzie zabici przez kierowników robót, t.zw. karpów. Drugą rzeczą, która zwróciła moją uwagę był budynek, obok którego stał wysoki komin, położony w odległości około 80 m. od bloku Nr. 22, położony za drutami, ogradzającymi obóz, t.zw. Effektenkammer. Zapytany przeze mnie jeden ze starszych więźniów co to jest za dom, oświadczył mi: "to jest fabryka w której ty za kilka tygodni zostaniesz spalony". W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy z treści odpowiedzi. Później dowiedziałem się, że obiekt ten - to był rzeczywiście krematorium, które niedawno zostało wykończono. Komór gazowych jeszcze wówczas nie było, a zatrawiano gazem w domku położonym za lasem. Domek ten był koloru białego, pokryty był dachówką, został on skonfiskowany jakiemuś włościaninowi. Prócz tego domku, znajdowała się obok niego uszczelniona stodoła, czy też szopa, z której również truto gazem. Zagazowanych palono na stosach drzewa polewanego naftą, czy ropą. W krematorium, o którym mówiłem, palono jedynie trupy, wynoszone z obozu. Wiem dokładnie, że w tym czasie budowano już komory gazowe przy krematorium pierwszym, oraz, że budowano dalsze trzy krematoria, wraz z komorami gazowymi. O tym wszystkim przekonałem się naocznie, ponieważ w czasie późniejszego pobytu w obozie, przy budowie tychże byłem zatrudniony. W dniu 29 stycznia o godz. 10-ej otrzymał każdy z nas po kawałku chleba, w ilości około 350 gramów, a ok. godz. 12-ej zupę z pokrzyw. Na placu przed blokiem staliśmy cały dzień

aż do apelu wieczornego t.j. do godz. 9-ej w błocie, ponieważ było odwilż. O 9-ej zebrano nas na blok 20-ty t.zw. "blok kwarantannowy". Kolacji już nie dostaliśmy. Blok ten podzielony był na cztery izby. Po bokach pod ścianami stały jakgdyby szafy, t.zw. "bukasy" z wnękami o szerokości km. 80cm. długości, około 2m. wysokości, około 60 cm. Były to jakgdyby skrzynie, z jednej strony otwarte, bez przedniej ściany, ustawione piętrowo jedna na drugiej, jakgdyby kołce na króliki. Skrzynie te służyły za prycze. W każdej z nich spało od 9-diu do 12-tu więźniów, tak, że o obroceniu się z boku na bok nie było mowy. Spaliśmy tak, że się nikt nie rozbiwał. Nie było ani sienników, ani poduszek, a jedynie na wszystkich 4 do 5 koców. Podłoga w bloku była z cementu, tak, że śpiący w najniższym buksie spali na kamieniu. W bloku nie było wogóle sufitu, a jedynie dach kryty heraklitem, okna nie nadawały się do otwarcia, gdyż tak już były zbudowane. Nie było w nim ani wody, ani ustępów, wody wogóle w całym obozie nie było, a jedynie kuchnia i kaźnia czerpały wodę ze studni.

W bloku tym umieszczono nas w liczbie 960 osób. Następnego dnia o godz. 4-ej wypędzono nas znova na plac przed blokiem. Przy wyjściu każdy otrzymał porcję chleba i około 2 dkg. marmelady, a następnie już na placu po trochu zimnej kawy. Kawę rozlewano do misek. Z jednej miski musiało pić kilka, czy kilkanaście osób, po kilka kyków. Do apelu porannego aż do wieczora staliśmy wszyscy na plaży w okropnych wprost warunkach. Plac był b. masy, stromy, a w najniższej części roztopa stworzyła bajero, że w pozostałej części musieliśmy się gnieść wszyscy w liczbie 960 osób. Na obiad dostaliśmy zupełną karpielewę, ok. 1/2 litra na osobę. W czasie całego dnia wywoływano nas kolejno do rejestracji. Ponieważ formalności te trwały dość długo, przeto rejestracja trwała 3 dni. Każdy zarejestrowany otrzymał swój numer, który następnie tatuowano na ręce. Grupy

zarejestrowanych w ilości około 100, udawały się następnie do łaźni. Były to zimne natryski. Ani mydła, ani ręczników nie dawano, tak, że ubranie wkładaliśmy na mokre ciało. Wszystkich uprzednio strzyżono, odbierano rzeczy prywatne, odvezawiano, jakimś płynem, a następnie każdy otrzymywał skarpetki, kołoseny, koszulę, spodnie i bluzę drelichową w pasy, piasecz w pasy, oraz czapkę. Z łaźni wprowadzono nas z powrotem na blok Nr.20, ale zarejestrowanych na osobny przedział. Ja zostałem zarejestrowany w drugim dniu rejestracji i otrzymałem Nr.90239. Przy oddawaniu przez nas w łaźni rzeczy prywatnych do magazynu, spisywano jedynie bieliznę i cenne rzeczy, natomiast bielizny, ubrania i innych ewentualnie posiadanych przez nas rzeczy, nie spisywano. Każdy z nas musiał jedynie do kieszeni ubrania włożyć swój numer, który uprzednio przy rejestracji otrzymał. Jeszcze przed kąpielą, kiedy oczekaliśmy na placu na swoją kolej, przyszedło do nas około 15 SS-mannów, którzy krzyżąc głośno, oraz bijąc harapami, kijami i łaskami, zmusili nas do wybiegnięcia poza bramę, pod las w kierunku białego domu. Musieliśmy wszyscy trzymać się wskazanego kierunku, a po przybyciu pod las pod ów biały domek, chwycić się wietkami pod ręce. Co się w owym domku mieściło i po co nas tam pędzono, wówczas nikt z nas nie wiedział. Po przybyciu na miejsce SS-mannowie poczuli nam wydawać rozkazy w języku niemieckim, których nie rozumieliśmy. Wówczas jeden ze współwięźniów Stanisław Kucharski, dyr.gimnazjum z Chorzowa Nr.95712, który władał językiem niemieckim zwrócił się do jednego z SS-mannów z propozycją, że on treść wydawanych rozkazów przetłumaczy na język polski, ponieważ inni obecni tu więźniowie ich nie rozumieją. Wówczas ów SS-mann odzewał się: " Jak -to, żydzi nie rozumieją po niemiecku?" Kucharski wyjaśnił mu, że my wcale nie jesteśmy żydami i że przybyliśmy do obozu z więzień w Tarnowie i Krakowie. Zapytany wówczas Kucharski o-

go czy on, względnie który z nas nie wiedział obok naszej grupy żydów. Któryś ze współwięźniów odpowiedział, że wiedział obok wartowni grupę kłęczących więźniów. Wyszło wówczas dla sprawdzenia tej okoliczności SS-manna, który przypadkowo przyjechał na motocyklu, a po jego powrocie, z obozu polecono nas odprowadzić do pustego, budującego się dopiero baraku, gdzie przytrzymano nas do późna w nocy. Ten fakt jeszcze bardziej spotęgował nasz niepokój. Później w kilka dni dowiedzieliśmy się, że ów biały domek, to komora gazowa, że ta grupa kłęczących więźniów, to byli Żydzi, w miejsce których nas wzięto i że tych więźniów Żydów tego samego dnia zagazowano. Około godz. 1-ej w nocy zaprowadzono nas do kąpielni. Po kąpielni wróciliśmy do baraków na blok 20, gdzie po odprężeniu nerwowym, każdy mógł spożyć otrzymaną porcję chleba. Na bloku kwatrującym przeżyliśmy przez przeciąg około 2 tygodni i tu po raz pierwszy spotkałem się z pomocnikiem wykonanym przez więźniów. Starszym blokowym był Ślązak, Leon Siwy, który należał do ludzi "lepszych". Wprawdzie był on czułym, ale nie zabijał i nie kałeczył więźniów, jak to robił jego zastępca, niej. "Józek" z Częstochowy. Ów Józek był więźniem pospolitym, o wyglądzie twarzy sadysty, niski, szarej konstrukcji fizycznej. Na twarzy pod lewym okiem miał wypaloną "maseczkę". Był to człowiek brutalny, gwałtowny, "najbardziej niebezpieczny". Przy każdej sposobności podkreślał on, że na najdrobniejsze przewinienia będzie bił, że Boga niema, a jeśli któryś z nas wierzy, to, niech się do Niego pomości, a zobaczy co mu pomoże, bo "i tak za kilka tygodni ścień z was żyć nie będzie, bo przyjechaliście tu, żeby zdiechnąć." Ów Józek przy każdej sposobności i bez żadnych poważniejszych powodów znęcał się nad więźniami, wymiarzał kary po SB-w pośladek, laską z cętkach sił, nie liczył się z tym, w jaką część ciała i jakim narzędziem bije, oraz czy na skutek razów więzień żyć będzie, czy umrze, względnie zostanie kałecą. Byłem naoczny świadkiem, jak pewnego wieczoru, przyłożywszy leżącego na ziemi w sali więźniowi laskę na szyję między podbródkiem a korpusem,

przystąpił końcem lekki nogami i w ten sposób tak długo dusił, aż tamten zmarł. Józek został następnie na skutek samosądu koleżeńskie-
go, w czasie transportu do innego obozu, zabity. Ja miałem z nim tak
że przejście. A mianowicie przed pójściem do kąpieli zwrócił się on
do nas więźniów, by dali mu na przechowanie cenniejsze rzeczy, bo w
każni mogą zginąć. Ja dałem mu na przechowanie pierścionek z brylant-
cikami, a gdy po przyjściu z kaźni, zażądałem jego zarotki, ten ude-
rzył mnie pięścią w twarz, oświadczając mi: "Ja dam ci pierścionek".
Widząc jego zachowanie więcej o zwrot pierścionka się nie upominałem.
Narzędziem którym posługiwał się w wykonywaniu swych praktyk Józek,
był Stubeńienst Oleszczuk, wysiedleniec z Zamojskiego, który potem
umarł w obozie. Zarówno Oleszczuk, jak i inni Stubeńienści, których
nazwisk nie pamiętam, zachowywali się wobec więźniów w podobny sposób
może mniej wyrachowany, ale brutalny bezwzględnie. Szemian za to
kosztem naszym Józek dawał im większe porcje chleba, dodatków i zupy.
Przez cały czas pobytu dokuczał nam największy głód, pragnienie i
zimno. Naskutek tych warunków pobytu i ciągłego wystawiania na polu
w wodzie i o chłódzie, mniej odporni zaczęli chorować i umierać.
Po upływie jednego tygodnia od chwili przybycia do bloku kwarantanny
porozdzielono nas po poszczególnych komendach pracy. Ja dostałem się
do Kommando K.G.L. /Kanalisation Kriegsgefangenenlager /. Praca
była bardzo ciężka, bowiem na głębokości kilku metrów kopało się rowy
kanalizacyjne, zakładało rury betonowe, wyrzucało ziemię, którą nastę-
nie inni więźniowie odwozili taczkami na inne miejsce. Najczęściej
musieliśmy wynosić ziemię w połączach płaszczy, gdyż głębokiego błota
nie można było wogóle taczkami przejechać. Nadzorcą nad pracą był
kapo Lucjan, człowiek bardzo porządny, który nigdy w mojej obecności
nikogo nie uderzył, a raczej dał komuś kawałek chleba. Wogóle, o ile
chodzi o nadzór tego Kommando, byli to ludzie dobrzy. -----
W tym Kommando byłem tylko tydzień, później byłem w Kommando

Planierung. Kapo w tym Kommando był Ślązak Galba Paweł. Był to również człowiek dobry. Do naszej czynności należało naszenie ziemi z wykopów do baraków. Kommando to liczyło 1200 ludzi, a każdy setka miał swego kapo. -----

Oprócz wymienionych poprzednio Kommand, wiem z własnego przeświadczenia, że prócz nas w tym czasie pracowało Kommando Dachbau, zajęte podobnymi pracami co my / przypuszczam, że nazwa pochodzi od firmy/, Kommando Kompostierung, zajęte konserwacją wież strażniczych t. zw. postankiety malej i dużej. Objasniam, że postankieta może być to wewnętrzny pierścień wież strażniczych, ściana - zewnętrzny, większy pierścień. - Ableidenkommando /materiały budowlane/, Kommando Krematorium I, II, III i IV, Sonderkommando, pracujące przy paleniu na stosach trupów, liczące około 180 osób, a później około 800 osób, firma Wagner, 1-mo budowlana, a następnie typowe fachowe kommando, zatrudniające wyłącznie więźniów fachowców, n.p. Zimmererkommando, Installateurkommando. Dodaję, że w firmach prywatnych poza więźniami pracowali robotnicy cywilni. Polacy z opaskami zielonymi i Niemcy z żółtymi, którzy mieszkali poza obozem i pobierali od firmy odpowiednie wynagrodzenie. Najcięższymi Kommandami były Kommando nie fachowe z tej przyczyny, że kapami w tych Kommandach byli najczęściej ludzie nie fachowi, zbrodniarze pospolici, których imiona szczególnie pamiętam. Byli to zresztą, z powodu okrucieństw i brutalnego obchodzenia się, ludzie znani każdemu więźniowi. Kapo mają na sumieniu tysiące niewinnie zamordowanych przez siebie bezpośrednio, względnie za pośrednictwem swoich pomocników, niewinnych więźniów. Ze znanych mi wymieniam następujących: " Krawczy Alojz ", Arnold Ben, Hans Koch, Aleks Wieland -Nr.14, Herman i wielu innych " oprychów ", między którymi znajdował się zbior z Düsseldorfu i innych, których nazwisk nie pamiętam. Jednym z najgorszych był kapo Dachdeckerów

- 15 -

Soppel, który następnie z obozu wcielony został do formacji SS. Ani adresem, ani nic bliższego o tych osobach podczas nie było. Wino tylko z opowiadania, że Koch miał być spokrewniony z generałem Frue Wechodnich Kochem, Steierdsem, że wszyscy wymienieni przynajmniej byli postaciami całego obozu. -----
Praca ich polegała wyłącznie na bicia i zabijaniu. Według, że komanda fachowa obsadzona była przez kapłańskich, pracowników Kopalni, którzy jako ludzie inteligentni, zachowywali się w stosunku do współwięźniów po koleżeńsku. - Bestialstwo kapłańskich, których naszytwa poprzecznie posiadała polegała na tym: przydzielono: 1. Grupę, która miała kilka pięter wysokości, stracono z najwyższego piętra, bo śledzącego powodem, członkiem do wody zapadającego się na portenie pracy. Członkiem ten tonął. - Zarytko człowieka pod pustą beczką, na której następnie siedano i jedzono potrawy, a zamknięty głębią z uduszenia. Urządzano zakłady pięter kopalni, który z nich za jednym uduszeniem ręki zabija więźnia. Właściwie chodzi o utratę przytomności, a gdy więzień padał na ziemię, zabijano go za pomocą kopania, a sam więzień krzesał się. Inteligencję typiono specjalnie, każdy miał zawieszony przestępstwo ułożony był "za swojego". Na wiadomości, jak kogo wybierają ludzi do pracy przy przegładaniu segregacji ludzi, a następnie pytali: "czy jesteś z zawodu?" gdy padła odpowiedź, że jest się przestępcą, albo że nie jest żadną pracą, w której nie się pracowało, odstawiał więźnia na bok, gdy zaś odpowiedział się, że ma do czynienia z człowiekiem ze skłonnościami uniwersyteckimi, np. matematycznym profesorem, sąsiad, itd., adresem pobierały go przegładanie takiego do najgorszej pracy. Pracowników sąsiadów, sąsiadów i prokuratorów traktowano jak najgorszej, dlatego też do pracy w tych zawodach wzięto się nie przysuwano. Najgorszej traktowano jednak policjantów. Niem dokładanie, że jeśli śmieciano się, że ktoś był policjantem, tego z miejsca zabijano. -----

- 16 -

Do pracy wyruszaliśmy około 7-ej, zaraz po apelu, albo też o świcie, a to w zależności od pory roku. W czasie wymarszu do pracy przegrzewała nas orkiestra obozowa. Przy bramie stała grupa SS-mannów, która liczyła Kommando. Każde Kommando miało swój numer. Musieliśmy maszerować w takt marza, bez czapek, każde Kommando do miejsca swej pracy. Około 17-ej /w zimie/ wracaliśmy z do obozu, znów przy dźwiękach orkiestry i ustawialiśmy się do apelu. Trwało to dosyć długo, gdyż do pierwszych szeregów dobierano najmocniejszych, po nich szli "Muzycanci" t.j. maruderzy, na końcu pochodu niesiono trupy więźniów, którzy padli albo zostali zabici przy pracy. W razie wskazania przez Kapów jakichkolwiek uchybień pracy ze strony któregośkolwiek Kommando, cały obóz musiał po kilka godzin, w czasie apelu wieczornego stać na baczność, klękod, względnie znajdować się w półprzysiadzie, zwanym "Kniebungen". Trwało to kilka godzin. To samo zdarzało się, gdy zarząd obozu nie mógł się doliczyć stamtąd tego obozu. Te fakty miały miejsce niezależnie od tego, czy w danym dniu był deszcz, śnieg, czy silny mróz. W tych dniach kolację razem z obiadem otrzymywaliśmy późno w nocy i to niejednokrotnie zupełnie przemoknięci. Trupy wnoszone razem z nami do bloków. Na wypadek braku któregoś kółka z więźniów przy apelu, gdy któryś z Kapów zgłosił, że mu brak więźnia, natychmiast dawano znać syreną, a następnie SS-manni i kapowie udawali się w poszukiwanie rzekomego zbiega, wraz z pasami, w obrębie wielkiej postankiety. Mówię "rzekomego zbiega" dlatego, że niejednokrotnie mógł ktoś zaszkodzić i na skutek utraty przytomności nie mógł do właściwego Kommando się stawić. - Gdy poszukiwania SS-mannów nie dawały rezultatu SS-manni i kapowie, Blockführerzy, wraz z Rapportführerem wybierali zupełnie dowolnie 20 - 30 ludzi z pośród więźniów bloku, w którym był brak cyfrowy i

- 17 -

ci więźniowie w tym samym dniu byli rozstrzelani. -----
Po 2 dniach pracy w Kommando Planierung przydzielono mnie do Kommando krematorium II, w którym pracowałem 2 dni. Budynek już był wykonany, ale nie było jeszcze ani palenisk, ani komory gazowej, które w tym czasie kończono. Krematorium to znajdowało się tuż obok krematorium I, o którym mówiłem i zbudowane było w sposób identyczny. I w jednym i w drugim komory gazowe mogły pomieścić ok. naraz 2000 osób. Komory gazowe mieściły się pod ziemią, a schodziło się do nich jak do piwnicy schodami. Urządzenia komór wówczas jeszcze nie było, a na zewnątrz na pierwszy rzut oka rabiły one właśnie żaluzje. Samo krematorium była to wielka hala, obok której znajdowały się dwa pokoiki, nad nimi były zaś mieszkania, w których później mieszkali więźniowie, zatrudnieni w Sonderkommando przy obsłudze krematorium. W tym czasie krematorium było dopiero w stanie budowy. Kapo tego Krematoriumskommando był tak zw. "abir z Düsseldorfu". Nazwano go tak dlatego, że miał zamordować kilkanaście osób na terenie Düsseldorfu. Zresztą sam zewnętrzny wygląd jego wskazywał na typ zbrodniarza. Wystające kości policzkowe, wybarwione czarne oczy, czarne związane brwi, wargi pomarszczone, zamrażacz na pozium, czarna, nieproporcjonalnie długie wąskie ręce, palczakowate nogi, atletyczna budowa, wzrost średni. Bano się go panicznie tak, że każdy z więźniów unikał spotkania z nim, gdyż na wypadek nieuważenia mu się z drogi zdolny był danego osobnika zabić. Kapo tego następnie przeniesiono do innego obozu, a krematorium zatrudniony byłem przy noszeniu cegły. Pewnego dnia po odbyciu 3-tygodniowej kwarantanny, wieczorem po apelu polecono nam wszystkim ustawić się w piątce i przeprowadzone nas do bloku Nr. 14. Przypomniałem sobie dokładnie, że z liczny 960, którzy przybyli ze mną na kwarantannę, po 3 tygodniach zostało nas tylko 560. Reszta zaś zginęła z rąk stu-

bedienstów, względnie kapów przy pracy, nieznaczny zaś procent zmarł na skutek wyczerpania. X

Bezpośrednio po przybyciu na blok Nr.14 zachorowałem i czułem, że mam silną gorączkę, do pracy jednak stale chodziłem, ponieważ wiedziałem, że chorych i nie pracujących więźniów SS-menni zbierali w grupy, które następnie przewożono do komór gazowych i trute.----- Pracowałem po różnych Kommandach. Choroba moja jednak z dnia na dzień się potęgowała tak, że po kilka dniach nie mogłem ustać na nogach. Jak się później od lekarzy dowiedziałem, przechodziłem obustronne zapalenie płuc. Sytuacja moja była fatalna, gdyż z jednej strony nie mogłem pracować, a zdawałem sobie sprawę, że na wypadek zaniedbania pracy będę otruty. Na apel poranny wnosili mnie koledy. Przez cały czas apelu wieczornego leżałem przy bluku w błocie, gdyż nie mogłem utrzymać się na nogach. Wobec powyższego zdecydowałem się pójść do szpitala. Po przybyciu przed ambulans, znajdujący się na bloku Nr.12, zastałem tak kolejkę czekających już więźniów w liczbie około 150. Wszyscy ci więźniowie absolutnie w tym dniu przez lekarza załatwieni być nie mogli i tylko własnemu uprtyowi zawdzięczam, że udało mi się minąć kolejkę i dostać się do wnętrza bloku. Przyjął mnie Polak, dr.Zenkeller Roman z poznańskiego, oznaczony numerem 20497. Po zbadaniu temperatury i wypytaniu mnie o rodzaj dolegliwości polecił mi zgłosić się do ambulansu w następnym dniu, po apelu. Następnego dnia w czasie apelu porannego, kiedy już zupełnie nie mogłem stać, leżałem w błocie, Schreiber blokowy wywołał mój numer a następnie polecił mi zgłosić się do szpitala. Na bloku Nr.12 było tylko około 70 miejsc dla chorych, t.zw. "prominentów". Wiedzieliśmy, że tych do gazu nie biorą. Chorych, którzy mieli 146 do gazu umieszczono na bloku 7, a następnie 2 razy w tygodniu wywożono autami do gazu. W tym dniu przekazano nas do szpitala 35-ciu, z czego 33 umieszczono na bloku Nr.7, a mnie i

więźnia Michała Adamczewskiego, jednego z kucharzy obozowych, umieszczono w bloku Nr.12. Przed decyzją jednak, co do umieszczenia nas w odpowiednich blokach, byliśmy ponownie badani przez lekarza Niemca, Untersturmführera Rodęgo, czemu zawdzięczam to szczęście, że zostałem przydzielony na blok 12, nie wiem. Po upływie roku zapytałem w tej sprawie dr-Zenkellera, a on odpowiedział: "wiedziałem, że i tak będziesz żył." Zenkeller był to człowiek niskiego wzrostu, krępy, grubych kości, o niskich paszankowatych nosach, lat 56, twarzy okrągłej, brwiach krzaczastych, podejrzliwy względem otoczenia. Z chorymi obchodził się szorstko i niejednokrotnie za drobne uchybienia uderzył chorego. W stosunku do młodszych kolegów lekarzy i personelu ambulatoryjnego był bezwzględny, za drobne uchybienia bił ich, beztań, względnie usunął ze szpitala do służby lagrowej. On to wraz z lekarzami lagrowymi-niemcami, przeprowadzał selekcję chorych, których wysyłano do gazu. Niejednokrotnie nie mogliśmy tego człowieka zrozumieć, gdyż jeśli mu z się ktoś postawił szorstko, za odwagę zdobywał jego sympatię. --- Był to wielki tchórz, bał się bardzo SS-mannów. Chorzy i personel szpitalny bali się go ponownie. Pochodził on z poznańskiego, później został starszym t.zn. "Lagerältester", szpitalnym.----- W szpitalu początkowo leżałem sam na kółku, później we dwójkę. Jedzenie mieliśmy takie samo jak w lagrze roboczym. Lekarze przychodzili do nas, badali nas, spisywali historję choroby, ale nie dawali żadnych środków leczniczych. Przez cały czas pobytu na bloku Nr.12, który trwał 8 dni, otrzymałem tylko jedną pastylkę aspiryny. Potem przeniesiono mnie na blok Nr.8, blok chorych, gdzie byłem również 8 dni. Umieszczono mnie na sztabie Nr.4, zajętej przez chorych na tyfus plamisty. Nie wolno było jednak się nikomu przyznać, że jest chory na tyfus, gdyż w tym wypadku chorych zabijano zastrzykami fenolu. Lekarze - więźniowie, a nawet Niemiec Rodę

patrzyli na to przez palce, i w kartach chorobowych wpisywali jako diagnozę "grypę". Po czterech dniach pobytu na bloku 8, przyszedł na moją sztabę dr. Reichmann Jerzy, Polak i zapytał: który z nas umie czytać i pisać po niemiecku. Między innymi zgłosiłem się i ja. Po napisaniu anamnezy choroby jakiegoś więźnia, którą napisałem dobrze, polecono mi czynności Schreibera na sali chirurgicznej przy dr. Krause Helmie, żydzie z Kiele, Polaku. Leczył on chorych gorliwiej wtedy, gdy ktoś dał coś do jedzenia. Do obowiązków moich należało spisywanie pod dyktando lekarza historii choroby, prowadzenie stanu liczbowego chorych, sprzątanía sali i wynoszenie trupów. Ponieważ miałem na skutek swej funkcji więkzszą swobodę ruchów, a blok Nr. 8 znajdował się w sąsiedztwie Nr. 7, przeto miałem możność obserwowania transportów więźniów, przeznaczonych do gazu. Zasadniczo w bloku Nr. 8, nie brano ludzi do gazu, zdarzało się jednak, że gdy na bloku Nr. 7, z którego brano do gazu, zabrakło ilości wyznaczonej na dany dzień do zagazowania, liczbę brakującą uzupełniano ze stanu chorych na bloku Nr. 8, a jak mi wiadomo raz czy dwa razy zabrano zupełnie zdrowy personel służbowy, składający się z więźniów bloku Nr. 7, dla uzupełnienia cyfry wymienionej w rozkazie do zagazowania. O tym, kto ma być przeniesiony z bloku Nr. 8 do 7, a co za tym idzie, przeznaczony do gazu, decydowali lekarze sztabowi, zwykle jednak wybierano więźniów już beznadziejnie chorych. Transporty do gazu odchodziły 2 razy tygodniowo, przeważnie rano, wtedy, gdy inni więźniowie znajdowali się poza lagrem.-----
Przeznaczonych do gazu spędzano uprzednio na blok Nr. 7, względnie jego podwórze, następnie zajeżdżały auta ciężarowe, chorych wpuściano, względnie wrzucano na nie i cały transport ruszał w kierunku komór gazowych. Zdarzały się wypadki, że więźniów przeznaczonych do gazu tatuowano literą A. Z końcem lutego, albo początkiem

- 21 -

marca 1943 r. jeszcze gazowano w prowizorycznej komorze, w białym domku pod lasem. Przeciętna dzienna śmiertelność bloku Nr.8 w tym czasie kiedy ja tam byłem, wyrażała się cyfrą 20 - 30 osób na ogólną cyfrę chorych około 250. Na bloku Nr.7 była ona znacznie większa. Przeciętnie stan więźniów na bloku Nr.7 wynosił około 800 osób, marło dziennie około 150 osób, a raz pamiętam zmarło nawet w jednym dniu 320 osób. Jedzenie i traktowanie więźniów na bloku Nr.7 było takie, jak na innych blokach, ale ponieważ umieszczono tam ludzi bardzo schorowanych i to w ilościach, których blok pomieścić nie mógł, większość tych, którzy ginęli, prosto dusiła się z braku powietrza. Blokowym na bloku Nr.7, był wówczas Wiktor Mordarski, więzień Nr.ponad 3000, były podprokurator z N.Sącza, który b.wiele pomagał więźniom, ratując ich od transportu. Jeśli np.cyfra więźniów do gazu przeznaczonych, nie była w rozkazie wyraźnie oznaczona, a jedynie polecono w nim zabrać do gazu więźniów bloku Nr.7, wówczas mógł on kilku czy kilkunastu zdrowych przekazać na blok Nr.8. W ten sposób uratował on życie wielu ludzi którzy do dziś dnia żyją. Musiał on w tym celu wchodzić w porozumienie z blokowym bloku Nr.8. W tym czasie blokowym tego bloku był Józef Barnacki z Poznania Nr.15517, który do Oświęcimia przybył z Dachau. Był to człowiek b. dobry i dlatego nazwany był przez wszystkich więźniów "tata". Był on ostoją wszystkich Polaków, kiedy nastąpił koniec Lager - kapo, a ponieważ należał do więźniów starszych i władał dobrze językiem niemieckim, cieszył się uznaniem i u kapów Niemców. -----

Na skutek umieszczenia mnie w sztabie chorych na tyfus, zaraziłem się na tyfus plamisty. W czasie 14-dniowego trwania choroby nie otrzymałem żadnego lekarstwa i mimo b.wysokiej temperatury musiałem bosą po kamienną posadce chodzić do ustępu, oddalonego około 30 kroków. W tym czasie wyżłano z Brzezinki prawie wszystkich Po-

leków do innych obozów koncentracyjnych w Niemczech.-----
W Brzezince zostali tylko Polacy chorzy, część personelu szpital-
nego i kilku fachowców. Wszystkie funkcje kapoów i administracyjne
w samorządzie obozowym objęli, w miejsce wywiezionych Polaków, -
Czesi i Żydzi. Ponieważ obawiałem się, bym nie stracił stanowiska
Schreibera przy lekarzu, przeto będąc jeszcze bardzo chorym, obje-
łem z powrotem pracę. Przez czas przechodzenia tyfusowi nie jadłem
prawie nic i dlatego doznałem biegunki głodowej. Jedyne tylko
temu, że zacząłem otrzymywać z domu prawie codziennie paczki żyw-
nościowe, zawiązałem uratowanie życia.-----
W listopadzie 1942 r., jak się od kolegów dowiedziałem, przywie-
zione do Brzezinki wraz z rodzinami 60-ciu chłopców z Zamojszczyz-
ny- Chłopców tych, z których żaden nie przekroczył 14-go roku ży-
cia, umieszczono w osobnym bloku. Z końcem marca zabrano ich do
Oświęcimia i jak się później od współwięźniów dowiedziałem, za-
szprycowano ich fenolem. Z grupy tej ocalało tylko 3-ich chłopców,
których udało się blokowemu Morásrakiemu ukryć na swym bloku Nr.7.
Będąc na bloku 8, widziałem przez dziurkę od klucza, jak SS-mann
Franz Schulz, Rottenführer, nie lekarz zaszprycował fenolem około
20 greckich żydów, chorych na malarię. Widziałem jak ich przepro-
wadzono z bloku 7 do pokoju ambulansowego w bloku 8, a następnie
pojedynczo wprowadzono do pokoju, w którym znajdował się Schulz.
Schulz polecił każdemu z nich rozebrać się do pasa, następnie
pochodził do stojącego skazanka, wbijał mu głęboką igłę w serce
i wstrzykiwał fenol. Po takim zastrzyku skazaniec momentalnie
chylił się do upadku. Wówczas dwaj znajdujący się z Schulzem - Ży-
dzi, więźniowie, brali go pod rękę, za ramię i wciągali przez
inne drzwi do znajdującej się za nimi stolarni. Po zaszprycowaniu
całej grupy, trupy przewieziono ze stolarni wozem sanitarnym /sa-
mochodem/ ale gdzie, tego nie wiem. X Ostał transport więźniów

- 23 -

przeznaczonych do gazu z bloku Nr.7, odszedł z końcem marca, względnie z początkiem kwietnia 1943 r. Od tej pory aryjczyków chorych ze szpitala nie gazowano. W tym też czasie wydano w obozie rozkaz zabraniający oficjalnego bicia w obozie, co, nie oznacza, by bicia zaprzestano wogóle. Od tej chwili następuje pewien zwrot na lepsze dla więźniów w życiu obozowym. Traktowano nas nieco lepiej jak poprzednio i od czerwca 1943r., chorzy na tyfus bez obawy zaszczepienia mogli się, do tej choroby przyznać. Stworzono nawet oddział chorych na tyfus plamisty. Chorych na tyfus było w tym czasie w łazience około 300 osób.

Z końcem kwietnia i początkiem maja 1943 przybyły do Brzezinki 3 transporty Polaków, w liczbie około 3 tysięcy. Dwa transporty z Warszawy - z Pasiaka, jeden z Łodzi. Byli to przeważnie inteligencja i ludzie, którzy na wolności pracowali konspiracyjnie. Wnieśli oni jakby nowe życie do obozu, w którym przez okres około 8 miesięcy czuliśmy się jako Polacy obco, gdyż było nas tylko nieliczna grupka. Zajęli oni wiele funkcji w zarządzie obozowym. Przywieźli wiadomości o sytuacji politycznej, niejednokrotnie o rodzinach, o stosunkach panujących w EG, a przez to podnieśli nas znacznie na duchu. 17 maja w miejsce Gzocha, który został wysłany na nowo otwarty obóz dla rodzin cygańskich, został przez blokowego wyznaczony na pisarza blokowego. Ponieważ przed pierwszym pójściem do Łodzi ukryłem w bukacie, w którym spałem, portfel z dokumentami, przeto jako Schreiber blokowy, ukryłem go w szafce w Schreibstube. W dwa dni po objęciu funkcji Schreibera, przyszedł do szufki SS-mann z oddziału politycznego i nie nie mówiąc przeprowadził szczegółową rewizję izby. W czasie tej znalazł mój portfel z dokumentami, uderzył mnie wówczas kilka razy ręką po twarzy, zabrał mi dokumenty, i zagroził umieszczeniem w Strafkommando, jako podejrzanemu o przygotowanie ucieczki. Bardzo się tego przelękłem, gdyż czym było Strafkommando dobrze już wie-

dziłem z opowiadań moich kolegów, a następnie sam obserwując pracę w Strafkommando miałem sposobność sam o tym się przekonać. Jednostkom i to nielicznym tylko, należącym do Strafkommando mogli czasem dopomóc lekarze przez umieszczenie więźniów w szpitalu. Tak się też działo. Stan liczebny SK wynosił przeciętnie ponad 200 osób, więźniowie przebywający w S.K., wiedzieli przez jaki okres czasu mają tam przebywać. Okresy te były różne, ale byli także i tacy, którzy okazani byli na stały pobyt w S.K. Do S.K. można się było dostać nawet za drobne przewinienie. SK mieściło się w bloku nr 1. Podwórko tego bloku było ogrodzone wysokim murem, na którym rozpięte były druty kolczaste. Więźniom SK wolno było opuścić blok i podwórko tylko wtedy, gdy pod eskortą SS-mannów udawali się do pracy. Nie wolno im było kontaktować się więźniami z innych bloków. Zatrudnieni byli przy kopaniu rowów odśnieżających, biegnących wokół obozu, względnie przy regulacji siatki. Pracę musieli wykonywać na tempo, poruszając się tylko biegiem. Kapami w SK byli tylko Niemcy, największą bandą i sądyści. Sprzedawiali otrzymywali oni to samo pożywienie, co więźniowie innych bloków, ale z powodu sztyku, stosowanych względem nich przez SS-mannów, z zarządu bloku i kapów prawie nigdy spożywać go nie mogli w całości. Często w nocy budzono więźniów z SK, bito niebezpiecznie kijami, kopano, a niejednokrotnie polecano całą noc stać w szeregach na podwórku blokowym, a następnie wypędzano do pracy, bez wyćnięcia im pożywienia.

Opowiadał mi jeden z współwięźniów, nazwiska jego obecnie sobie nie przypominam, możliwe, że był to Antoni Kępa z Łodzi, Nr. 6874 z zawodu fryzjer, który przez jakiś czas był fryzjerem w SK., że pewnego razu w zimie polecano całej SK., stać przez całą noc nago na polu. Przy pracy obchodzono się z nimi okrutnie, w nieludzki sposób ich bito i zabijano, czym i gdzie popadło, bito za najdrobniejsze nie tylko przewinienie, ale nawet za odruchy, które nie spowodowały

się SS-mannowi, lub kapo. Topiono ich w kopanych rowach. Nie też dziwnego, że w tych warunkach przetrwanie w SK nawet kilka dni było niemożliwe, a jedynie dzięki setkom okoliczności sprzyjających i wyjątkowemu szczęściu, zawdzięczać mógł ktoś, jeśli z SK wyszedł żywy. Godziennie po pracy jechała specjalna "rollwaga" na miejsce pracy SK i przywoziła stamtąd kilkadziesiąt trupów. Na bloku dla zabawy, blokowy lub któryś z kapoów odwiedzał jednego lub kilku więźniom, że za kilka minut żyć nie będą, a następnie na uderzenie gongu wieszali ich na haku w następie. Więźniowie ginęli z uduszenia. Innym rodzajem umiarkowania było wieszanie ludzi za nogi na haku przy równoczesnym wsadzeniu głowy do naczynia z wodą. Do normalnych szykan należało "Kniebeugen", ćwiczenia gimnastyczne i zmuszenie więźniów do zaspokajania potrzeb naturalnych w pewnych określonych terminach i na tempo.----- Myli się niezależnie od poru roku rano nago, ręczników nie otrzymywaliśmy, a bieliznę musieli wdzierać na mokre ciało. Oprócz SK karano jeszcze za drobne przewinienia więźniów karą umieszczenia w bunkrze. Bunkry znajdowały się na bloku Nr.2. Na własne oczy widziałem, jak wyglądają bunkry. Jedne z nich miały powierzchnie 60 x 80, a 2 metry wysokości, tak, że można było w nich stanąć inne zaś były nisko sklepione, wskutek czego można było stać w nich jedynie w pozycji pochylonej. Nie miały one ani okien, ani drzwi. Były zupełnie puste, podłogę miały kamienną, wchodziło się do nich przez otwór umieszczony nad posadzką, a zamykany na kłódkę. Spędzono czasem do takiego bunkra więcej więźniów do 4-tak, że skutkiem braku powietrza, więźniowie w nich dusili się. Zdarzało się niejednokrotnie, że po wyjściu z bunkra mieli poobgryzane palce, gdyż dusząc się w niewygodnych pozycjach, z bólu sobie to robiłi. Zasadniczo w takim bunkrze umieszczono więźniów na noc, rano zaś musieli iść do pracy. Okres, w jakim więźniowie mieli spędzić

noce w bunkrze był im znany. Był on różny. Jeden ze znanych mi współ-
więźniów, niejaki Wiesław Kielar z Jarosławia, Nr. 290 za to, że
ubrał na siebie w zimie do pracy 2 swetry, otrzymał karę jednego mie-
siąca pobytu w bunkrze. -----

Za moich czasów, t.j. kiedy ja przebywałem w Brzezince i kiedy tam
mieszciano się SK, blokowymi bloku Nr. 1 byli Arnold Bem Nr. 8 Niemiec,
oraz 2 Polacy z Chorzowa, którzy w obozie podpisali swoją przynależ-
ność do narodu niemieckiego: Franciszek Daniach Nr. ponad 11 tysięcy
i Emil Bednsrek Nr. ponad tysiąc. -----

Na podwórzu bloku SK znajdowało się szubienice, na której wykonywano
oficjalne wyroki śmierci, a także koziółek do wymierzania kary chłosty.
Wyroki za t.zw. usiłowaną ucieczkę wykonywano na oczach całego obozu
na placu apelowym. -----

Kobiety, które przywieziono do obozu umieszczano w specjalnym lagrze
kobięcym, znajdującym się tuż za drutami lagru męskiego. Nazywał się
on F.K.L. /Frauerkonzentrationslager/. Proceder przyjęcia odbywał się
zupełnie jak na lagrze męskim, z tym, że kobiety po rozebraniu ich, na
naszych oczach podzono zupełnie nago do kaźni, która znajdowała się
na terenie F.K.L. Jeśli w tej kaźni brakło miejsca, przepędzano je do
kaźni naszego lagru, również zupełnie nago. -----

Strzyżenie głowy, pach i części rodnych dokonywali wówczas więźniow-
nie mężczyźni. Wogóle w czasie tych kąpieli zatrudniony był personel
męski, a eskortę takiej grupy kobiet stanowili SS-manni, mężczyźni i
t.zw. "Auisieherki". -----

23 lipca 1943 r. przeniesiono cały obóz męski z t.zw. B I b /Bauabsch-
nitt I b/ na nowo wybudowany teren B II, z tym, że zdrowych więźniów
umieszczono na odcinku B II d, chorych zaś na odcinku B II f, między
lagrem roboczym, a szpitalnym znajdował się odcinek B II e, gdzie od
kwietnia 1943 r. znajdowali się cyganie. Odcinek szpitalny B II f,
składał się z 18 baraków drewnianych, typu szwajcarskiego z podłogami
i oknami. Były to już baraki cieplejsze, jasne, posiadały sufity i mia-

ły normalnie piece. Łóżka w salach były dwupiętrowe. Każdy barak posiadał około 44 łóżek i mógł pomieścić około 90 ludzi. Zdarzało się, że na blokach tyfusowych, w nieco późniejszym terminie umieszczono około 170 ludzi. Warunki mieszkaniowe poprawiły się znacznie, jak również zwiększono ilość porcji dietowych dla ciężko chorych /lepsze zupa, biały chleb /. Ja byłem wówczas Schreiberem blokowym na blokach tyfusowych Nr.10 i 11. -----

Obóz cygański B II e, składał się z 38 baraków typu stajennego. W kwietniu przywieziono pierwsze transporty, a w następnych kilku miesiącach osiągnął stan liczbowy 18 tysięcy ludzi. Rozmieszczono ich rodzinami tak, że mężczyźni przebywali razem z kobietami i dziećmi. Otrzymali oni winkle czarne, co oznaczało Asoziale i Arbeitscheue, a przed numerem każdy posiadał literę Z / Zigeuner/. Numerację przeprowadzono od 1 do 18 tysięcy. Traktowano ich z początku lepiej, jak innych więźniów i lepiej odżywiano. Dla dzieci urządzano t.zw. Kindergarten z karuzelą. Początkowo nie chodzili oni do prac obozowych, a jedynie zajęci byli utrzymaniem czystości wewnątrz ich odcinka. Grupa tych cyganów stanowili cyganie Niemieccy. Obóz robił wrażenie normalnego obozu cygańskiego na wolności, gdyż cyganie chodzili we własnych cywilnych ubiorach. Między cyganiami byli tacy, którzy służyli w wojsku niemieckim, a którzy w czasie urlopu po przebraniu w ubranie cywilne, zostali zabrani z domu i umieszczeni w obozie cygańskim. Mieli oni możliwość we własnej kantynie zakupywać artykuły spożywcze i inne, których było w kantynie cygańskiej znacznie więcej niżeli w naszej obozowej. Mogli oni posiadać przy sobie pieniądze, podczas, gdy nam ich posiadanie nie było wolno, mieliśmy bowiem bony. Cyganie zebrali i wykuźdali od innych więźniów przez druty poływienie za t.zw. "wróżenie". Wróżbami trudniły się wyłącznie cyganki. Z powodu wielkiego brudu w obozie, zaczynają powstawać choroby zakaźne, jak tyfus, szkarlatyna, tak, że śmiertelność jest stosunkowo, wielka. Obóz cygański

istniał od lipca 1944. W tym czasie na skutek chorób zmarło 12 tysięcy osób. W lipcu, z początkiem tego miesiąca, z pozostałej grupy 8 tysięcy osób wybrano 2 tysiące najzdrowszych mężczyzn i kobiet i wywieziono na roboty do Niemiec, pozostałe zaś 4 tysiące, jak to miałem możliwość widzieć na własne oczy, załadowano na auta i zawieszono do komór gazowych, gdzie ich struło. Akcje załadowania na auta rozpoczęła się o godz. 8-ej wieczór, a trwała do późna w nocy. Zatrudniono były przy niej Sonderkommando, które z całą brutalnością traktowało cyganów, dzieci wrzucano na auta jak pakunki. Przed akcją wywożenia zarządzono u nas "blokszpery", a bloki obstawiono silnie SS-mannami. Okna musiały być zamknięte, ale ponieważ blok Nr. 10, na którym ja byłem, był położony około 3 metry od obozu cygańskiego, miałem możliwość z zachowaniem ostrożności, zaobserwować, co się tam dzieje. Obóz cygański obstawiono SS-mannami wzdłuż drutów. Cyganie widocznie przeczuwając, co im grozi, zaczęli uciekać, chować się, chować się ratować. Zrobił się piekielny wrzask, tu i ówdzie padały strzały, a SS-manni chodzili nawet po dachach, a to dlatego, żeby ktoś nie uciekł przez okna znajdujące się na dachu. Przypuszczaliśmy, że cyganom coś grozi, gdyż uprzednio wywieziono w kilku transportach co najzdrowszych cyganów, w dniu zaś, w którym miała się odbyć ostateczna likwidacja obozu, polecono u wszystkich więźniom, nie cyganom, zatrudnionym w obozie cygańskim przenieść się na teren obozu niecygańskiego. Chodziło w tym wypadku o lekarzy, Pflegerów i Schreiberów. Również wieczorem tegoż dnia polecono cyganom, po zarządzaniu uprzednio blokszpery w całym obozie cygańskim, pozbijać deskami drzwi poszczególnych bloków, aby z wewnątrz nikt nie mógł wyjść. Następnego dnia rano przegladnięto kartoteki wszystkich cyganów w naszym obozie, oznaczonych literą Z, przeważnie znajdujących się w blokach szpitalnych w leczeniu, załadowano ich na auta i również zatruto w komorach

gazowych. Ten sam los spotkał dwóch cyganów i jedną cygankę, którym w jakiś dziwny sposób udało się poprzedniego dnia ukryć w obozie cygańskim. -----

Na drugi dzień po likwidacji, obóz cygański robił wrażenie pustkowi, jakby przykrego pogorzeliśka, martwość spowodowaną ciążą. Nadmieniam, że Cyganie po przyjeździe do obozu mieli dużo pieniędzy i złota. Pieniądże te następnie przez kantynę drogą wyzysku przeszły do kieszeni niemieckiej. W kantynie można było dostać jedynie liche papiorosy, "warzone zupy", czasem dużą kapustę kiszoną, buraki w occie, ślimaki w beczce, wodę mineralną. Raz pomogłam można było dostać ogórki kiszone. Poza tym w kantynie były drobizgi do golenia, papier klozetowy i tym podobne drobne rzeczy.

czasami można było tam kupić jarzynowe sałatki. Po likwidacji obozu cygańskiego w Brzezince pozostali jedynie Cyganie nieoznaczeni literą Z, normalni schutzhäftlinge, było ich kilka, rekrutowali się przeważnie z Żywanek ulicznych. -----
Były wypadki zwolnienia Cyganów z obozu cygańskiego na wolność i to zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Warunkiem zwolnienia była jednak uprzednia sterylizacja zwalnianych. Jeśli ktoś z więźniów cyganów, którzy mieli być zwolnieni, nie zgodził się na sterylizację, musiał nadal pozostać w obozie. Niem o tym dokładnie od lekarzy i pielęgniarki, gdyż operacje te odbywały się w sali operacyjnej na bloku Nr. 8. -----
W sierpniu 1942 wznowiono gazowanie więźniów. Gazowano tylko Żydów, a pierwszy taki transport do gazu liczył około 1000 osób. Następnie w okresach co miesiąc lub dwa aż do października 1944 wysyłano różne ilości Żydów w liczbach od 300 do 1000 do komór gazowych i trute. Każdy transport Żydów do gazu był poprzedzony wizytą lekarza niemieckiego, który przybywał wraz ze swoim pomocnikiem 33-letnim t.zw. SDG /Sanitätsdienstgehilfe/. Lekarz przeglądał posierżone Żydów, następnie dyktował numery wybranych

przez siecie owemu Ja-manowi. Z numerow tych nastepnie sporzadzano listy i odaykano ja do oddzialu politycznego, ktory jedne nazwiska sprobowal, inne za to Zydom o pewnych konkretnych zarzutach, dotyczacych przestepstw politycznych, nie z getta, albo masowek, skreślił z listy. Po dwóch dniach taka lista wracała do SDG, a osoby na niej umieszczone spędzano na blok nr 16, w którym miescila się kadnia. Wszyscy tam spędzeni wiedzieli, że będą struci gazem, ale ruzili się, że uda się im jeszcze w jakim sposobie śmierci uniknąć. Na bloku 16, przed przybyciem aut, które miały ich odtransportować do komór gazowych, zachowywali się oni b. dzielnie. Jedni robili wrażenie pękoślakanych, inni wygłaszali mowy, dodając w ten sposób pozostałym otuchy, inni wręcz chcieli jeść i palić. Po upływie około dwóch godzin wywożono ich autami do komór gazowych i tam trafiał lekarzem, który ustalił listę skazanców w sierpniu był lekarzem niemiecki, Obersturmführer Holmersehn, podobno był prezydentem policji w Berlinie. Był to hakatyista niemiecki, nienawidzący Polaków, a w szczególności inteligencji. Był on człowiekiem młodym, lat około 30, a jak twierdzili więźniowie, nie medycznie zupełnie się nie znał. -----
Na wiadomo odczyt widzieliśmy i otrzymałem od napórwiężniów, że w różnych porach dnia i nocy w okresie czasu od sierpnia 1943 do maja 1944 przywożono autami transporty ludzi, których ześlano z dworca towarowego w Świeżym Mieście wprost do komór gazowych. Wszystkie krematoria były już wówczas czynne, a po przyjeździe każdego transportu, kominy krematoriów dymią dzień i noc. Były to transporty wielkie, nieraz liczyły po kilkudziesiąt aut ciężarowych. Za każdym z takich transportów jecheł samochód sanitarny z cyklo-nem B; przewoźni przypuszczali, że jest to może doraźna pomoc sanitarna. Transporty takie przychodziły nieraz codziennie, a czasem były przerwy, trwające do dwóch tygodni. Transporty autami z dworca towarowego odbywały się tylko do tego czasu, dopóki nie zbudowano bocznic kolejowej wprost do krematoriów. Wiatem możnaby do-

każdego zaobserwowania momentów wyładowywania więźniów z pociągów. Ponieważ rampa znajdowała się niedaleko od bloku 11, a między nią a blokiem była otwarta przestrzeń, po której mogliśmy spacerować, a nawet dochodzić do drutów poza którymi znajdowała się rampa. W czerwcu 1944 zaczęto przywozić masowo Żydów z Węgier. Dziennie, a raczej w ciągu doby przybywało takich transportów z Żydami po kilka, a nawet kilkanaście pociągów. Transporty te trwały blisko miesiąc. Według naszych obliczeń przywiezione w tym czasie do Brzezinki około 350 tysięcy Żydów węgierskich. Po przybyciu pociągu polecano wszystkim wagony opróżnić, a wszystkie przywiezione rzeczy pozostawić w wagonach. Następnie lekarz niemiecki przeprowadzał selekcję, w czasie której jedynie najzdrowszych mężczyzn i kobiety odprowadzał do lagru, resztę zaś mężczyzn, kobiet i dzieci przypędzano do komór gazowych i trute. Napływ ludzi, którzy mieli być struci gazem był tak olbrzymi, że mimo, iż krematorium I i II mogły pomieścić w komorach gazowych po 2 tysiące ludzi naraz, a III i IV po 750, musiano truć ludzi w prowizorycznej komorze gazowej w białym domu pod lasem. Krematorium III i IV posiadały za mało palenisk, by spalić zatrutych w ich komorach, przeto obok krematorium IV zrobiono stos drewniany, na którym palono zagazowanych. Trupy zagazowanych w białym domu, palono również na stosie obok niego. Niedaleko od stosów wykopano dwa doły, w których zakopywano niedopalone części kości. W całym obozie panował wtedy piekielny smród, było aż ciemno od dymu. Zdarzało się niejednokrotnie, że komory gazowe były tak przepełnione, że nie można było już truć ludzi. Wówczas przesyłano mężczyzn Żydów węgierskich na lager cygański, kobiety zaś przeznaczone do gazu umieszczano na specjalnym odcinku zupełnie nie wykonanym, t.zw. odcinku III /Bauabschnitt III /. Odcinek ten nazywaliśmy "Meksykiem", kobiet tych w ogóle nie rejestrowano, ani też nie oznaczano numerami. Pilnowali ich już nie SS-manni, których brakło, lecz prąbyli ze wschodu policja. W barakach w których mieszkali, nie by-

było żadnej pomocy lekarskiej, nie byłowody, ani nie było ustępów. Bezpośrednio po przywiezieniu ostrzyżono je, następnie zabrano im wszystkie rzeczy. Bieliznę, w którą były ubrane, rozkazano im zdjąć, a na gołe ciało dano im cienkie sukienki. Niewiasty te czekały tylko na opróżnienie komór gazowych, co trwało do dwóch miesięcy. W ciągu tego czasu doprowadzano je partiami do komór gazowych i trute. Najzdrowszych Żydów węgierskich których w znikomym procencie lekarz w czasie selekcji na dworcu przekazał na lager, oznaczono znakiem A z dodatkiem 1,2,3,4 itd. Żydów tych przekazywano następnie grupami do prac w kopalniach węgla i fabrykach. Żydzi pracujący w tych warunkach szybko tracili zdrowie, na skutek czego przewożono ich następnie z powrotem do obozu i trute w komorach gazowych. -----

W czasie spalania na stosach, najczęściej wieczorami, słyszeliśmy niejednokrotnie płacz i krzyki dzieci, oraz szczerkanie psów, z czego domyślaliśmy się, że dzieci te rzucono na stos żywcem. Nasze przypuszczenia w tej kwestji potwierdził częściowo fakt, że po pewnej chwili krzyki i płacze milkły. -----

Jakoś we wrześniu 1943 r. przywieziono do Brzezinki wagonami pierwsze transporty Żydów czeskich, składające się z około 5000 osób. Byli to mężczyźni, kobiety i dzieci. Rozmieszczono ich rodzinami w poszczególnych blokach na odcinku B II b. Odcinek ten składał się z 32 bloków. Oprócz tego transportu przybyły do Brzezinki jeszcze 1 lub 2 transporty Żydów czeskich. Ponieważ tych Żydów rozmieszczano rodzinami, przeto odcinek ten nosił oficjalnie nazwę Familienlager. Żydów tych traktowano bardzo grzecznie, pozwolono im zabrać do bloku wszystkie przywiezione ze sobą prywatne rzeczy, nie strzyżono ich, nie pędzono do pracy, pozwolono im na otrzymanie paczek żywnościowych przesyłanych przez rodziny, czy znajomych. Pozwolono im również na pisanie listów. Założono w obrębie ich obozu specjalnie dla nich szpital i traktowano ich jak nie-więźniów. -----

Byli to bogaci żydzi z Theresienstadtu, w którym było największe
czeskie ghetto, liczące około 70 tysięcy żydów. Byli to ludzie b.
bogaci, rzucano się to już na pierwszy rzut oka. Okoliczność dobrego
traktowania żydów czeskich przez władze obozowe tłumaczyliśmy sobie
tym, że chodziło tu o cele propagandowe w stosunku do rządu protektoratu
Czech. Drugi transport żydów czeskich liczył około 2 tysiące
osób. -----

W 6 miesięcy po przybyciu każdego z tych transportów, żydów tych utr-
to w komorach gazowych. Przed wytruciem pierwszego transporta prze-
niesiono wszystkich żydów wchodzących w jego skład na odcinek A. Z
transportu tego wyłączone jedynie lekarzy i bliźniaki, których zosta-
wiono na odcinka B II b, a w chwili likwidacji II transporta przenie-
siono na odcinek szpitalny B II f. Jeszcze w przeddzień zagazowania
pierwszego transportu polecono tym, którzy mieli być zagazowani napi-
sać listy do rodziny, a jako datę napisania listu, podać datę o mie-
siąc późniejszą. -----

Po transportach żydów węgierskich i czeskich przywieziono jeszcze
do Brzezinki kilka transportów z getta Żołoskiego. Żydów tych było
kilkadziesiąt tysięcy. Obchodzono się z nimi podobnie jak z żydami
węgierskimi, t.j. nieliczny procent najzdrowszych wysyłano do pracy
w kopalniach i fabrykach, innych zaś spędzano do komór gazowych i
trato. Zdrowych oznaczono literą B z dodaniem cyfrowego numeru. ---
W związku z masowym gazowaniem więźniów stworzono specjalne Komman-
do t.zw. Sonderkommando. Sonderkommando liczyło około 1000 więźniów
żydów, różnej narodowości, oraz kilku Rosjan, których przewieziono
z obozu w Majdanku. Początkowo Sonderkommando mieszkło się w nor-
malnym lagrze na odcinku D, w bloku Nr.13, a następnie w miarę li-
cznego wzrostu w blokach Nr.9 i 11. Wyjaśniam, że w tym czasie
Strafkommando przeniesiono na blok Nr.13. Bloki w których mieszkło
się Sonderkommando były ogrodzone murem, a więźniom Sonderkommando,
nie wolno było kontaktować się z innymi więźniami obozu. Do
sk wyznaczano więźniów z urzędu. Robił to Lagerführer, a wyzna-

60

czenie takie równało się karze śmierci. Więźniów tych wybierano ze stanu całego obozu, a wybierano młodych i najzdrowszych. Jak dokładnie sobie przypominam za czasów mojego pobytu w obozie S-Kommando likwidowano co trzy miesiące, trując ich w komorach gazowych. Najczęściej zabijano członków SK fenolem. -----

Z chwilą przybycia transportów Żydów węgierskich, a następnie czeskich i łódzkich zmieniano miejsce pobytu Sonderkommando, a mieszkańcy przeniesiono je do pokoi znajdujących się nad I i II krematorium. Po zlikwidowaniu /zagalasowaniu/ tych Żydów, część Sonderkommando umieszczono w komorach gazowych, w krematorium III i IV. Więźniowie pracujący w SK robili po pewnym czasie pobytu w nim wrażenie polepszonych, nie reagujących na potworności swoich czynów. Byli to ludzie zbrodniczo zdziwili. Opowiadali mi współwięźniowie, że jeden z więźniów zatrudniony w SK spotkał przywiezioną do obozu swoją matkę. Zaprowadził on ją osobiście do komory gazowej, mimo iż wiedział, że ona została zagazowana, a sam w dalszym ciągu pełnił zlecone mu czynności. -----

We wrześniu 1944, dnia dzisiaj nie pamiętam, około godz. 16-ej zauważyliśmy w obozie niezwykłe ożywienie ze strony SS-mannów, którzy na powrót spędzali Kommando z pracy do obozu, następnie zauważyliśmy, że III Krematorium próżne. Ujrzelśmy uciekających z niego przez odcinek G w kierunku krematorium I więźniów. -----

Domyśliliśmy się wtedy, że chodzi tu o bunt w Sonderkommando. Nasze domysły potwierdziły się później w zupełności. Do grupy uciekających z III krematorium więźniów, przyłączyła się następnie pewna część więźniów Sonderkommando, pracującego w krematorium I. Obie te grupy po przecięciu drutów wysokiego napięcia i drutów kolczastych, otaczających krematoria, usiłowały zbiec. W pogon za nimi rzucili się SS-manni, którzy strzelali do uciekających. Ilu więźniów udało się zbiec, jak również ilu zbiegło, a ilu zabito, tego nie wiem. W każdym razie nikogo nie przyprowadzono z powrotem do obozu żywego, a przy wieczornym apelu okazało się, że brak jest 92 więźniów. W związku z tym buntem 622/4

nych represji czy szykan nie zastosowano. Jak się później dowiedzieliśmy z opowiadania kapo III krematorium, który nie wiadomo w jaki sposób ocalał i dlaczego nie uciekł, a którego następnie rannego od postrzału przyniesiono do szpitala, - powodem buntu były specjalne szykany zastosowane w tym dniu do SK, zatrudnionego w III krematorium. Więźniom tym kazano się rozebrać do naga, tak, że przypuszczali, że zostaną zagazowani. Uczestnicy buntu po zabicu jednego SS-manna i Niemca, kapo krematorium III podpalił swoje łóżko i zbiegł. ~~-----~~

Nadmieniam już poprzednio, że z transportów Żydów czeskich, w czasie likwidacji Lagru rodzinnego wybrano poza lekarzami także bliźniaków, a dodając, że z wszystkich transportów żydowskich, które przychodziły do obozu po czerwiec 1944 r., wybrano także karłów i niedorozwiniętych fizycznie, niezależnie od płci. Na męskim szpitalu, gdzie umieszczono tych wysegregowanych, przebywało około 120 więźniów w wieku od 3 lat do starszych włącznie. Pozwalano im na poszczenie włosów, do pracy nie chodzili i byli podlegli dr. Mengelego Hauptsturmführera, który był naczelnym lekarzem obozowym w Brzezince. Stworzono wówczas specjalne ambulatorium antropologiczne, do którego powołano specjalistów, lekarzy więźniów. Lekarze ci przeprowadzali najrozszybsze badania z tymi bliźniakami i karłami, robili najrozmaitsze pomiary czaszki, wzrostu itd., przeprowadzali specjalne badania wzroku, słuchu i innych zmysłów, czynili odlewy gipsowe oczek, zębów, przeprowadzali analizy krwi, robili zdjęcia, ale do jakiego celu miały te badania - nie wiem. ~~-----~~

Za czas w mojego pobytu w lecie 1944., wieczorem kilkakrotnie widziałem na własne oczy, jak w krematorium II odbywały się t.zw. "rozstrzelenia" więźniów, czyli zabijanie ich za pomocą krótkiego pistoletu-bolca, takie o, jakiego używa się do uboju bydła w rzeźniach. Obserwowałem to przez oświetlone okno krematorium. Odbywało się to w ten sposób, że dwóch więźniów SK, w od-

12

stępnocześnie minutowych podprowadzał kolejno skazanców, a znajdujący się tam SS-mann wystrzelał z bolca w tył głowy zabijając ich. Więźniów zabijanych w ten sposób było po kilkunastu. -----

W obozie w Oświęcimiu przebywałem od 28.I. 1943 r. do 20 stycznia 1945 r. Od sierpnia do listopada 1943, a stawy przed wyrzuceniem mnie z bloku chorych przez lekarza niemieckiego Helmerseha, pełniłem poza funkcją Schreibera blokowego, funkcję malarza. -----

W tym celu przez cały dzień chodziłem w kombiniesonie malarskim, powalonym farbami i malowałem bloki nr 10 i 11. W tym czasie blokowym bloku 10 i 11 był przybyły z Oświęcimia-Buny Niemiec Hans Beck nr 5. Był to człowiek b.dobry, zwany pospolicie "tata", który wszelkimi możliwymi sposobami starał się więźniom pomagać. Ów Beck był uprzednio w Oświęcimiu I. Lagerältestorem szpitalnym, a na skutek tego, że za dużo pomagał więźniom został zdegradowany, a następnie przeniesiony do Brzezinki, gdzie pełnił funkcję starszego blokowego. -----

Mnie również blokowy Beck lubił i pomagał mi, a kiedy następnie Becka przeniesiono do obozu w Lagiszczach, gdzie na Śląsku, na jego wniosek lekarz Helmersehn polecił mi pełnić funkcję blokowego bloku nr. 10 i 11. Blokowym byłem do listopada 1944 r. -----

Z początkiem grudnia 1944 r. lekarz Helmersehn poszedł na front, a jego funkcję objął lekarz Tilo, szubasty, dbający jednak o stan zdrowia chorych, co nie przeszkadzało mu więźnia już wyleczonego przeznaczyć do gazu. Dnia 24 listopada 1944 r. wyznaczono mnie wraz z innymi i Polakami, do transportu, który miał odejść do innego obozu, położonego w głębi Rzeszy. W tym celu przesiedlono mnie na odcinek D. Tu mnie umieszczono na bloku 11, który w tym czasie do przejazdu SK do krematoriów, był blokiem transportowym, a następnie na blok 22. Na blokach tych czekaliśmy na wagony, którymi miało nas otransportować, przez około 10 dni. W międzyczasie udało się mi skontaktować z więźniami: Klewinem i Rajkoszem, którzy przygotowali listy transportowe, a byli zatrudnieni w t.zw.

"Arbeitsamatzu". więzień Kłewin czuł do mnie wdzięczność za okazaną mu w czasie jego choroby pomoc na bloku 10 i dlatego wyciągnął moją kartotekę z grupy kartotek tych więźniów, którzy mieli być wywiezieni, a mnie doradził, bym zmyślwszy chorobę, starał się dostać do szpitala. Wówczas "zorganizowałem" dla siebie zastrzyk propidonu i akrykawkę, za pomocą której jeden z kolegów propidon wstrzyknął mi domięśniowo. Na skutek tego zabiegu dostadem wysoki gorączki. By zatem przejść przez bramę z odcinka D na odcinek szpitalny F ogryzowałem jeszcze chorobę grzybką na brodzie w ten sposób, że brodę i twarz maserowałem jodyną, a na tym porobiłem "centki" z maści cynkowej. Na skutek wysokiej gorączki przyjęto mnie do szpitala i w ten sposób uniknąłem wyjazdu z transportem, który w tym samym dniu t.j. 4 grudnia 1944, w liczbie około 1500 osób, odjechał w głąb Niemiec. Do szpitala przyjął mnie dr Epstein. Naczelny lekarz postawił diagnozę co do grupy i przydzielił mnie na blok 6. Na bloku tym leżałem 2 tygodnie, co udało mi się dzięki temu, że w tym czasie lekarz Heagel odszedł do lazaretu SS, a na jego miejsce przyszedł z frontu Dr. Heratmann, który w stosunkach logowych zupełnie się nie orjentował. Po dwóch tygodniach kiedy już z Kłewka wstajem, przeniesiono mnie na blok 12, gdzie pełniłem funkcje Schreibera blokowego. Na bloku tym pozostałem do dnia 20 stycznia 1945. -----
Dnia 18 stycznia 1945 r. odeszły ostatnie transporty pieszo zdrowych więźniów w kierunku na zachód. Transporty te były eskortowane przez SS-mannów. -----
Dnia 20 stycznia 1945 r. około 15-tej opuścili obóz ostatni SS-mann, pozostawiając nas bez nadzoru. Około godz. 20-ej przybyło do Komando "Kanada" na odcinek B II 6 dwóch SS-mannów, którzy podpalił magazyny Kanady. Magazynty te były pełne pomimo, że wyważono z nich stale najcenniejsze rzeczy, a to, z powodu napły-

wania coraz-to nowych transportów. Składały się one z około 30 bloków. Ponieważ wiedziałem, że w obozie nie ma już SS-mannów, słysząc odgłosy strażków artyleryjskich wiedziałem, że front jest bardzo blisko. Obawiając się, aby SS-manni nie wrócili i nie zabrali do Rzeszy pozostałych w obozie więźniów, porozumiałem się z kilku - ma kolegami, a to: Stanisławem Zasadzkim, z Końskich, Władysławem Rodowiczem z Warszawy, Jerzym Borodziejem z Grodna i Alfincem Budrowskim z Łukowa. Przesz z nimi uciełkiem o godz. 23.55 z oboza w kierunku południowym. Do nas dołączyły się jeszcze dwie więźniarki Polki, Władysława Kamińska i Janina Grzybowska, obie z Warszawy. Warunki atmosferyczne były b. przykre, była silna mgła, dzień był mroźny. Brnęliśmy w śniegu po kolana. Jeszcze w obozie przebraliśmy się w ubrania cywilne. Z rozbitych magazynów wzięliśmy plecaki, które załadowaliśmy żywnością. Jedynie po odgłosach strażków artyleryjskich, dochodzących z północy, idąc we wprost przeciwnym kierunku, orientowaliśmy się, że idziemy na południe. Pędzeni strachem, aby nie wpaść z powrotem w ręce niemieckie, b. szybkim krokiem szliśmy prawie bez odpoczynku, nie mając ^{żadnego} zmęczenia. W ten sposób do godz. 6-0j rano. W godz. 6-0j rano doszliśmy do wsi Brzeszcze. Zauważywszy jakiś dom, w którym się śmieciło, wyszliśmy najpierw dwie współtowarzyszki na zwłady, a następnie na zaproszenie gospodarza weszliśmy i my. Był to dom Jurczyka, robotnika kopalni Brzeszcze. W domu tym przyjęto nas nadzwyczajnie serdecznie jako więźniów z Oświęcimia, kogoszczono jedzeniem i pozwolono się przespać. Wogóle ludność okoliczna odnosiła się do więźniów oświęcimskich z całą serdecznością. W Brzeszczach z powodu niemożności przejścia przez linię zbliżającego się frontu pozostaliśmy przeszło tydzień, rozmieszczani po różnych domach. Dnia 28 stycznia wkroczyły do Brzeszcz wojska Radzieckie i na nasze pytanie, czy można spokojnie wrócić do Krakowa, udzielono nam na powrót, a tym samym dniu wyruszyliśmy

przez Chruszcz do Krakowa. Do Krakowa przybył dnia 29 stycznia 1945 i przebywał tu krótko, pracując w spółdzielni "Spółka".
 Do zeznań moich śladem jeszcze, że w szpitalu obozowym spotykałem się
 jednokrotnie z grupami Żydów, na których lekarze Niemiec dokonywa-
 li sterylizacji promieniami Rentgena. Leżeli oni na bloku 15-ym,
 przeznaczonym dla skórnac-chorych ze strasznymi ranami genitaliów.
 Z opowiadań ich wiem, że tych operacji ścieżniczkowych dokonywał
 lekarz Schumann, typowany "profesorem".
 Chodził on w mundurze porucznika lotnictwa niemieckiego.
 Nadto wymieniam jeszcze szereg nazwisk Niemców, najwięcej "sub-
 rozród obozowych". Byli to: Lagerkomendant Hesse, jego zastępca
 Kraus, Lagerführer Aufmeyer, Lagerführer Schwarzstaber, i Rapport-
 führerzy: Palitech, Schillinger, Polaczek i Karpnik. Lagerko-
 cju Lagerführerki: Mandel i Krasler. Z oddziału politycznego, szef
 oddziału Grabner, oraz funkcjonariusze: Bruchat, Hofman i Lechmann,
 Blokführerzy: Buldog, Wolf, Grepotini i Barocki, oraz szef kronar-
 tum Muhl.
 Odczytano. Na tym przesłuchaniu protokoł niniejszy w dniu 19.4.
 1945 r. zakończono.

Prokurator

/ Dr. Wincenty Jarosiński /

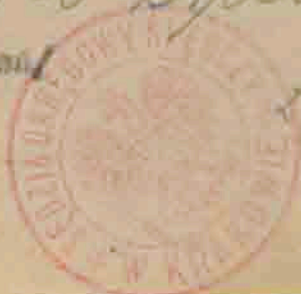
Stronok 1945/1

/ Helena Boguszeńska-Kornicka /

Sędziak

Helena Boguszeńska-Kornicka

/kanceliera sądu/



*Łączymy się z panem
Zawieram*